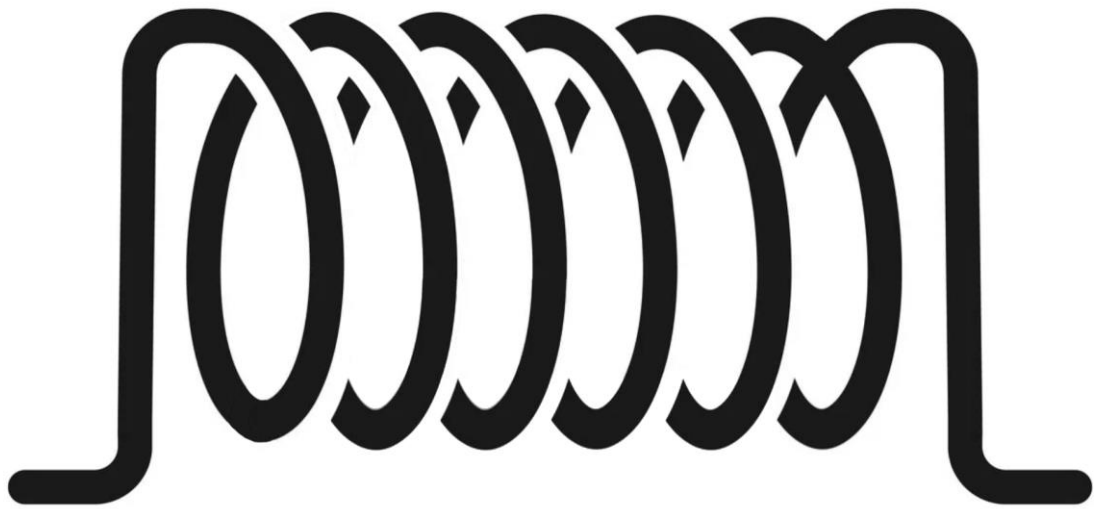


Jarosław Księżyk



ANIELA

Seria: INDUKCJA

WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL

Wystarczyło kilka chwil pełnych wpatrywania się w ciągnących krakowskim rynkiem przechodniów, by ją wyłowić.

Czy aż tak rzucała się w oczy? Czy aż tak byłem zdesperowany? Wysuszony? Łaknący inspiracji? A może po prostu znudzony? Trudno powiedzieć, choć z całą pewnością wtedy na niektóre z tych pytań odpowiedziałbym „tak”. Jednakże, w pierwszym momencie sądziłem, że to przez jej fikuśny kapelusz, w zadziwiający sposób łączący moher z falbankami. Nijak nie pasował do czarnego, ciężkiego, długiego płaszcza, zdecydowanie zbyt ciepłego jak na tę porę roku.

Jednak to nie był on. Taki kapelusz to przecież nic takiego. A może moją uwagę zwróciła jej zasuszona, acz w pewien sposób dystygowana twarz? Ot pomarszczona staruszka, zapewne zapomniana przez rodzinę, z nikogo nie interesującym bagażem doświadczeń. Co więcej mogłem wyczytać z jej oblicza, z tej odległości?

Nagle zrozumiałem. Zdobyła moje zainteresowanie chodem. Tym, w jaki sposób uderzała o bruk swoimi trzewikami, z powodzeniem mogącymi służyć za rekwizyt w międzywojennych przedstawieniach na deskach teatru. Gdybym siedział bliżej, bez wątpienia usłyszałbym miarowe stukanie twardych obcasów. Tak inne od pospiesznego dreptania turystów, skupionych na tym, by zobaczyć jak najwięcej i jak najszybciej. Ona zaś szła tak, jakby ich nie było. Z doświadczeniem, precyzją i spokojem omijając głośne grupki wyskakujące z dorożek. Różniła się również od zapracowanych mieszkańców, ciągnących niczym lokomotywa, ściśle wytyczonym kursem, na maksymalnym ciągu, byle do przodu, byle mocniej, byle odbębnić z listy zadań to i tamto.

Tego właśnie potrzebowałem. Jej potrzebowałem! Po tygodniach pełnych wymęczonych tekstów, z terminami na karku, podłamany i zdesperowany. Porzuciłem niedopite latte, zerwałem marynarkę z krzesła, po czym ruszyłem za staruszką, po drodze wciskając banknot kelnerce.

Dopałem ją na skraju rynku. Trochę zbyt agresywnie, przestraszyła się, ale zachowała spokój. Na powitanie posłała mi spojrzenie zdenerwowanej, dumnej kobiety. Speszony ale i zdeterminowany poprosiłem ją o wspólną herbatę. O dziwo, nie potraktowała mnie jak wariata, ani nawet nie impertynenta. Nie minął kwadrans, a ja wiedziałem, iż na imię jej Aniela, piłem z nią przestodzoną herbatę i rozglądałem się po jej staromodnym saloniku.

Po kolejnych kwadransach wiedziałem, że urodziła się w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Na tyle późno, by bezpośrednio nie zaznać wojny, ale na tyle wcześnie, by na własnej skórze poczuć jej bezpośrednie następstwa. Chowając się w szarości i głodzie, nauczyła się cenić każdą najdrobniejszą rzecz, co prześladowało ją przez całe życie, wtedy, gdy sprzęt w jej pracowni nadawał się do wymiany, a buty po mamie, choć wciąż dobre, wołały o modową emeryturę.

Od dzieciństwa osłuchana i odczytana, gdyż rodzice otrzymali staranne mieszczańskie wychowanie, kultywując przedwojenne tradycje i gdy nadszedł czas, posyłając córkę do najlepszego w Krakowie, katolickiego gimnazjum.

Czy to z powodu pochodzenia, czy ukończonych szkół, czy na podstawie miejsca zamieszkania, w kamienicy na „Wenecji”, Pani Aniela była dla władzy kimś gorszym. Od momentu budowy Nowej Huty, to jej mieszkańcy, w stanowczej większości napływowi, mieli być prawdziwymi krakusami, wartymi troski komunistycznej władzy. Koncepcja inżynierii społecznej zakładała zmianę charakteru miasta. Pani Aniela została niechcianą mniejszością i od tamtego czasu stanowczo odmawia choćby wsiadania



do tramwaju jadącego do huty Sendzimira, a już po zmianie ustrojowej, czytając w gazetach jak to turyści Igną do zniechęconej dzielnicy, prychnęła ze złością.

Choć skrycie marzyła o Akademii Sztuk Pięknych, gdyż od młodości ładnie szkicowała i miała rękę do realistycznych portretów, jej pragnienie rozbiło się o wiekowy, krakowski bruk rzeczywistości. Rodzice mówili jej, że musi stanąć na własnych nogach, zdobyć zawód, założyć rodzinę, nie narażać się władzy. Zapewne zdecydowały też względy ekonomiczne. Rodzice nie mieli ani dobrej pracy, ani właściwego pochodzenia, ani tym bardziej znajomości otwierających odpowiednie drzwi. Z czasem szkicownik z pracami zaginął, sama nie wiedziała, gdzie.

Skończyła więc szkołę zawodową, uzyskując uprawnienia w zawodzie krawiec. Zawodzie, który towarzyszył jej aż do emerytury. Przeżyła pierwszy okres koniunktury, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, choć nie dorobiła się wtedy majątku, bo w tamtych czasach nikt bez legitymacji partyjnej się go nie dorabiał. Ledwie przetrwała koniec lat osiemdziesiątych i początek kapitalizmu, kiedy to rynek zalały tanie ubrania produkowane w krajach trzeciego świata, a ludzie chodzili do krawca tylko po to, by za kilka złotych wymienić zamek w kurtce. Teraz jest zbyt zmęczona, by odżyć na powracającej modzie na krawiectwo.

Na szczęście skromne zarobki wystarczyły jej, by utrzymać mieszkanie na „Wenecji”, niedaleko plantów, starego miasta, rynku i historii, która za nimi stała. Historii, której znajomość pielęgnowała, pochłaniając wieczorami książkę za książką, popijając przy tym herbatę z dwiema łyżkami cukru, ze szklanki w wiklinowym koszyku. Taką, jaką mnie poczęstowała.

Pani Aniela nigdy nie wyjeżdżała z Krakowa, jeśli nie liczyć obowiązkowych wycieczek ze szkoły powszechnej do Wieliczki i Oświęcimia. Papierskie kremówki można bez problemów kupić w Krakowie.

Pani Aniela jest już na emeryturze, ale ma uczennicę, Monikę, która przychodzi do niej do domu dwa razy w tygodniu, by porządnie nauczyć się szyć „jak trzeba” – jak mówi ojciec dziewczyny, podgórzanin z dziada pradziada. Starsza pani lubi zarówno dziewczynę, pilną i mądrą, jak i jej ojca, porządnego krakusa.

Monika od czasu do czasu przynosi staruszce nowe żurnale z ciekawymi wykrojami. Pokazuje jej na komórce filmiki z technikami szycia i słucha z zaciekawieniem, gdy Pani Aniela wytyka tym wszystkim youtuberkom błędy.

W pewnym momencie Pani Aniela przerywa opowieść. Czuję na sobie jej baczny wzrok. Chyba wyczytała z mojego wyrazu twarzy, że powoli mam dość. Jestem naładowany, mam ochotę siadać przy klawiaturze. Napełniłem zasobnik twórczej gliny, czas lepić opowiadanie, a kto wie, może i powieść? W tym właśnie momencie zdaję sobie sprawę, że to nie ja kontroluję sytuację! Aniela dosypuje herbatniki na tacę. Krąży wokół mnie z czajnikiem, jak z wielką dolewką. Ignoruje moje subtelne sygnały. Nerwowe stukanie o blat, zapinany zamek w torbie, chrząkanie i wnikliwą analizę zegarka. Jakby nigdy nic, siada bliżej mnie i mówi dalej. Wzdycham ciężko i przetykam ślinę.

Aniela nawiązuje do mieszkania, w którym jesteśmy i które przez całe życie musiała utrzymywać sama, gdyż z mężczyznami jakoś jej się nie ułożyło. Zbyszek, wyższy od niej o głowę i przystojny chłopak zza Wisły, miał wypadek w jednostce wojskowej, podczas odbywania obowiązkowej służby. Byli nawet zaręczeni. Płakała miesiącami, a i teraz zdarzy jej się czasami zapłakać, o czym nie przyznaje się koleżankom przychodzącym raz na tydzień na placek z jabłkami i gadanego remika – gra doskonale sprzyja plotkowaniu.

Następny był Roman, z pozoru o nienagannych manierach i równie nieznoszący nowohucian jak ona. To jednak było zbyt mało, by połączyć ich na całe życie. Gdy po latach prób okazało się, że jak to mówią



księża, ich małżeństwo jest bezowocne, Roman stracił cierpliwość i znalazł sobie lepszą, młodszą, płodniejszą. Teraz ma gromadkę dzieci i wyprowadził się pod samą Nową Hutę.

Z tego i jeszcze kilku innych powodów, na kredensie Pani Adeli stoi tylko jedna ramka, z fotografią Zbyszka w mundurze.

Komplementuję postawny wygląd jej wybranka, a ona przyjmuje te komplementy z filuternym wyrazem twarzy, a następnie puszcza mi oczko i mówi coś o pannach sznurem za każdym mundurem! Stereotyp, a jakże prawdziwy.

Sztucznym uśmiechem staram się zamaskować zdziwienie. Tymczasem ona kładzie swoją dłoń na mojej.

Nachodzi mnie refleksja, jakże często patrzymy na osoby starsze przez filtr ich wieku, zupełnie nie dostrzegając ich osobowości, faktu, że oni jak każdy mają swoje zalety i wady, swoje namiętności i niejednokrotnie sporo za uszami. Na więcej przemyśleń nie mam czasu, albowiem Pani Aniela przysuwa się do mnie, ciągnąc konspiracyjnym tonem.

Nagle nachodzą mnie obawy. O co jej chodzi? W co ja się wpakowałem? Uśmiech momentalnie spływa z mojej twarzy, a ona po prostu, jakby nigdy nic, ciągnie opowieść. Ale jaką opowieść!

Relacjonuje, jak pewnego pięknego dnia, gdy Zbyszek odbywał swoją służbę, późnym popołudniem przyjechała do jednostki wojskowej w jakiejś pomorskiej mieścinie. Podobno nie pamięta już gdzie.

Wysiadła z autobusu marki Jelcz, następnie przeszła kilka kilometrów piechotą, by wreszcie stanąć w drzwiach do dyżurki.

Siedzący tam podchorąży popatrzył na nią z ukosa, po czym ironicznie się uśmiechnął.

Przymknęła oczy, nieumiejętnie próbując ukryć zażenowanie. Chciała poczekać do ślubu. Zbyszek też chciał. Zaręczyli się niedawno i mieli nadzieję na szybki ożenek, tymczasem przyszło powołanie do wojska, które zabierało jej go na prawie dwa lata.

Gdy dostała list, w którym Zbyszek w dość dosadny sposób dał do zrozumienia, że nie chciałby już dłużej czekać. Wtedy postanowiła „niech się stanie”. Odpisała, że przyjeżdża.

Wręczyła podchorążemu umówioną łapówkę, na co ten uśmiechnął się porozumiewawczo, po czym zaprowadził ją do ambulatorium.

Ona szybko zrzuciła z siebie płaszcz, poprawiła włosy, psiknęła perfumami, ułożyła spódnicę.

Zbyszek przyszedł kilka minut później. Zamknął za sobą drzwi, zapalił światło i popatrzył na nią łapczywie.

Wpadli sobie w ramiona, a jego ręce od razu zaczęły podróż po jej ciele.

- Zgaś, proszę – szepnęła mu do ucha, a potem delikatnie je przygryzła.

Wrócił do wejścia, pstryknął wyłącznik i na wszelki wypadek zastawił drzwi krzyżem.

Podszedł do niej i namiętnie pocałował. Odwzajemniła pocałunek.

W myślach widziała tych wszystkich szeregowców nasłuchujących pod drzwiami i oknami – na pewno tam byli.

- Nie przejmuj się, nikomu nie mówiłem – powiedział pewnie, jakby czytał w jej myślach.



Jego ręce uniosły spódnicę, by z miłym zaskoczeniem odkryć, że nie miała majtek.

- Już zdjęłam – rzuciła rozedrganym głosem. Zawsze była pragmatyczną dziewczyną. Dziewczyna wojaka.

Szybko zapomnieli o ambulatorium, armii, o innych. Oddali się sobie na kilka bezcennych minut, które będzie wspominała przez całe życie.

Trzy minuty później rozległo się walenie do drzwi. „Kończyć już” – rozkazywał czyjś głos.

Tutaj Pani Aniela urywa opowieść.

Zupełnie nie wiem co powiedzieć. Siedzę z otwartą gębą, mając przed sobą nie staruszkę, a kobietę z krwi i kości, zarumienioną, szczęśliwą, z charakterystycznym błyskiem w oku. Nie myślę już o ucieczce. Delektuję się tajemnicą, do której mnie dopuściła, świadom bycia schwytanym w pajęczą sieć. Ona chichocze, a następnie puszcza moją dłoń, wracając wzrokiem do ramki, którą, jak mówi, kilka razy dziennie strąca kot Alik. Jest to dziewiąty kot Alik w jej życiu. Zawsze nazywa je tak samo, tłumacząc koleżankom, że to wciąż ten sam kot, a dokładniej kolejne jego wcielenia. Jak wiadomo, dziewiąte jest ostatnie. Kiedy Alik umrze, ona też będzie gotowa.

Wtedy zdaję sobie sprawę z najważniejszego. Ona otworzyła mi oczy! Mnie, pisarzowi, wytrawnemu obserwatorowi, osobie, która powinna mieć spojrzenie niczym rentgen. Tymczasem, podobnie jak reszta społeczeństwa, zdawałem się ulegać szablonowemu myśleniu o starszych, wsadzając ich do jednego wora z etykietami: zmęczenie, ból, choroba, ciasta dla wnuczków, laurki na dzień dziadka i babci, laska do podpierania i jeszcze najlepiej moherowy beret. Jak reszta społeczeństwa wypychałem ich poza nawias tego co ciekawe, ważne, o czym warto mówić i pisać.

Pani Aniela daje mi chwilę na otrząśnięcie się, po czym, w typowo żołnierski sposób oznajmia, że pomogła mi, a ja tym samym zaciągnąłem u niej dług.

Jak mam go spłacić? To proste. Cyklicznie przychodzić z moimi tekstami. Przychodzić z wiadomościami ze świata. Kiedy tylko będzie chciała, wysłuchiwać jej wspomnień. A kto wie, może pomoże zburzyć mi jeszcze kilka stereotypowych murów?

